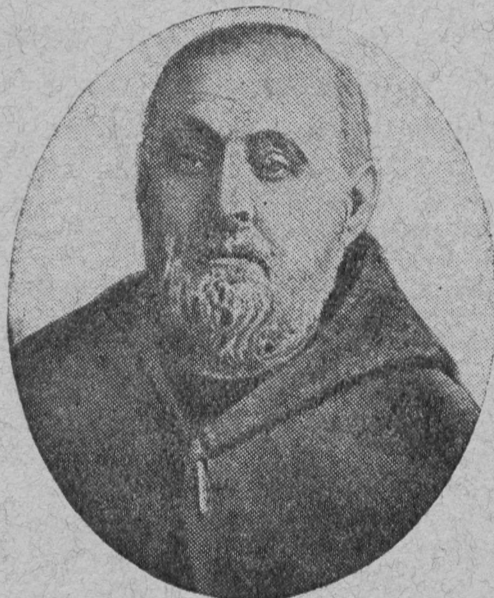
NASZA MYŚL

1 9 3 6
Wrzesień-Październik
Nr. 5



**SZERZY KULT
BRATA ALBERTA**

**OMAWIA ZAGADNIENIA
ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ
DZIEŁA BRATA ALBERTA
PRZYNOSI WIADOMOŚCI
Z DOMÓW ALBERTYŃSKICH**

Kraków, ul. Kościuszki 86
Telefon Nr. 132-48

Cena 30 gr.

OD REDAKCJI

W następnym numerze podana będzie wiadomość, jak ostatecznie Nasza Myśl od 1 stycznia 1937 r. będzie nazwana, na podstawie wyniku ankiety.

TREŚĆ ZESZYTU:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

Cenzor: *ks. Dr. K. Prażmowski*
Wydawca: Brat Wincenty, Albertyn
Za redakcję: Br. Viator Za administrację: Figiel Władysław

Druk Braci Albertynów, Grochowska 121.

NASZA MYŚL

Nr. 5 Wrzesień-Październik 1936 r.



mal. Br. Albert
Niepokalanie Poczęta (niedokończony).

„Najświętsza Pani zdaję się na Twoją łaskę — daj żebrakowi co chcesz, albo niedaj wedle Twej łaski i woli“.

„Matkę Najświętszą obieram za opiekunkę w moich trudnościach — chcę Ją czcić osobnem nabożeństwem przez cały ciąg życia i całą wieczność.

Wyjątki z modlitw ułożonych przez Brata Alberta.

Radosna wieść!

W dniu 29 lipca b. r. wieczorem w Kancelarji Zakładu wychowawczego Braci Albertynów dla chłopców na Zwierzyńcu w Krakowie obecnej siedziby Brata Starszego zadzwonił krótko telefon. Na zapytanie kto dzwoni odpowiedziano: „OO. Jezuici — proszę o rozmowę z Bratem Starszym‘. Po śpiesznem przybyciu do telefonu Brat Starszy usłyszał słowa krótkie jakby ukrytego żalu: „Tu Ojciec Bednarski... w odpowiedzi na prośbę Braci na nadeszłe z Rzymu polecenie naszego **Ojca Generała** ofiarowujemy Wam na własność obraz „Objawienie się Serca Jezusowego św. Marji Małgorzacie Alacoque“ i proszę zaraz po niego przyjechać.

Cisza... Brat Starszy nic nie odpowiedział — słowa gdzieś w krtani zamarły — serce coraz większem tętnem biło, powieki coraz częściej przymykały i otwierały się, jakby chciały ukryć cisnące się coraz bardziej łzy... radości, a na stroskanej twarzy wystąpiły dawno nie widziane rumieńce.

Po chwili ochłonąwszy Brat Starszy odrzekł nieśmiało: „Bóg zapłać“ — i opanowawszy wzruszenie prosił o bliższe wyjaśnienie.

I ta chwila nigdy niezapomniana napełniła nieopisaną radością serca całego Zgromadzenia Braci Albertynów. Dzięki bowiem przedziwnym wyrokom Bożym i woli przeszlachetnej duszy polskiej Najprzewielebniejszego O. Włodzimierza **Ledóchowskiego** Generała Zakonu OO. Jezuitów spełniło się wieloletnie najgorętsze pragnienie serc Braci.

Na wieść zakomunikowaną przez Przew. O. Bednarskiego udał się natychmiast ubogi Albertyn i przejąwszy z rąk wspaniałomyślnych Ojców obraz, rozradowany wiózł szybko w trosce by zasię nie uszkodzić bogatej ramy w którą Czcig. Ojcowie go przybrali i złożyć go w uboższej jeszcze celi Brata Starszego... a z poza sklepienia nieba usłanego miljardami migotliwych gwiazd błogosławił Brat Albert za ofiarę poniesioną dla Jego czci i miłości bliźniego!

I chociaż z bólem serca i żalem obraz ten po blisko 56-letniem posiadaniu przez Czcigodne Towarzystwo Serca Jezusowego przechodzi na wieczystą własność Braci Albertynów, to jednak Czcigodni Ojcowie składają go w ręce Albertyńskie, kierując się szlachetnem zrozumieniem, że obraz ten to największa i bezcenna pamiątka dla duchownych synów Twórcy tego obrazu — niegdyś wybitnego artysty - malarza, a później Ojca-Założyciela ich Zgromadzenia.



Najprzew. X. Włodzimierz Ledóchowski Generał Towarzystwa Jezusowego.

Najprzewielebniejszy Ojcze **Generale!** Kiedy tych kilka skromnych kartek „Naszej Myśli“ Twe czcigodne ręce przerzucą, a Twe pełne dobroci oczy rzucą wzrok na te proste i szczere słowa racz przyjąć z głębi wzruszonych serc naszych najgłębszą podziękę za pełne poświęcenie i za szlachetną a dla nas tak drogą ofiarę - pamiątkę oraz zapewnienie o naszych gorących modlitwach do stóp Stwórcy niesionych o Twe Najprzewielebniejsze Ojcze Generale zdrowie i błogosławieństwo Boże!

A Wam Przewielebni Ojcowie, którzy choć z żalem serca z taką życzliwością raczyli pośpieszyć z radosną wieścią i wręczyć tak drogi skarb dla naszego Zgromadzenia składamy „B ó g z a p ł a ć“.

KRÓTKA HISTORJA OBRAZU „OBJAWIENIE SIE SERCA JEZUSOWEGO ŚW. MARJI MAŁGORZACIE ALACOQUE“.

Obraz „Objawienie się Serca Jezusowego św. Marji Małgorzacie Alacoque“ ofiarowany obecnie przez Wielebnych Ojców Jezuitów w Krakowie malował Adam Chmielowski (późniejszy Brat Albert Założyciel Zgromadzenia Braci Albertynów i Sióstr Albertynek). Obraz ten wielkości 1.72 m. × 81 cm. pochodzi z roku 1880 z czasów największego duchowego rozkwitu talentu artystycznego, malowany na płótnie przedstawia fragment wnętrza romańskiej świątyni, której sklepienie pod-



Objawienie się Serca Jezusowego św. Marji Małgorzacie Alacoque malował Adam Chmielowski (Brat Albert)

trzymuje kilka filarów czworobocznych łukami zakończonych. Po prawej stronie obok ołtarza zjawia się Chrystus w białej powłóczystej szacie klęczącej i rozmodlonej zakonnicy św. Marji Małgorzacie Alacoque wyciągającej w ekstazie swe ręce do Mistrza, obok stoi anioł w białej sukni z rękami na piersiach złożonemi. We wnękach ścian wymalował artysta poszczególne sceny z męki Pańskiej. Całość obrazu pod względem plastyki i kolorystyki wzbudza potężne wrażenie, a jako rzadki okaz, posiada wielką wartość.

Obraz „Objawienie“ malował Brat Albert specjalnie dla Ojców Jezuitów w których posiadaniu był przez lat 56 wielce przez Nich ceniony i pieczołowicie konserwowany.

To też ofiarę jaką Przew. OO. Jezuici ponieśli dla Zgromadzenia Braci Albertynów wywołała wśród czcicieli dzieła Brata Alberta nietylko uznanie ale i gorącą wdzięczność i podziękę.

W. D.

Od przytułku Brata Alberta w Krakowie do pracowni artysty

Ludzka nędza, miłosierdzie i sztuka

Mały Dziennik 28-VII-1936.

Przypadkowo natrafiłem na słowa Adama Chmielowskiego Brata Alberta na temat miłosierdzia: „żaden naród — mówił Brat Albert — ani pojedyńczy człowiek nie zubożał przez wykonywanie miłosierdzia, lecz każdy bogaci się, bo zdrowie moralne, życie, inteligencja, chęć do pracy, które są warunkami dobrobytu, są też zwykłemi następstwami daru nadprzyrodzonego miłosierdzia, tak właśnie, jak nikczemny egoizm z niemoralnem życiem, z utratą zdrowia i chęci do pracy najchętniej się wiążą“.



Projekt pomnika Brata Alberta w Krakowie Szkic projektował K. Hukan

Może właśnie te słowa zapędziły mnie w skwarne lipcowe południe na skraj miasta, a brzeg Wisły, aby na odmianę przypatrzeć się nędzy i miłosierdziu zarazem, nie w zimno i mróz, ale w południe, przy blasku jaskrawego słońca. Skromna furta Braci Albertynów stoi zawsze dla każdego otworem. Ale gdy przyjdziesz i spytasz w duchu wywiadu, choć z uprzejmym uśmiechem, przecież niechętnie mówią oni o swej pracy i własnym niedostatku, mimo, że równocześnie pokazują braki i niedostatki ludzi, wyrzuconych poza obręb zwykłego życia. Na obszernym dziedzińcu, skąpanym południowem słońcem, z rozwalających się ruder wysuwają się starcy w łachmanach, aby odetchnąć innem powietrzem. W walących się tych ruderach, które są najlepszym wyrazem cichego miłosierdzia, gnieździ się w tym dniu właśnie 160 biedaków, którym wolno jest wyciągnąć na drewnianej pryczy znużone nędzą życia kości, odpocząć i upodobnić się do człowieka. W zimię bywa ich tu więcej. Liczba się zdwaja, bo mróz spędza ich wszystkich z najdalszych odcinków miasta do ciepłego kąta. A nad nimi roztacza opiekę zaledwie sześciu Braci, którzy cieszą się nadzieją, że może za rok znajdą już pomieszczenie dla swoich przyjaciół w nowobudującym się sumptem miasta gmachu.

Rozmowa siłą rzeczy musi zejść na wspomnienia o Bracie Albercie. I znowu Jego następcy marzą o tej chwili kiedy spełni się ich najgorętsze życzenie: beatyfikacja Brata Alberta. Te-

raz też Bracia nie mówią o sobie, ale o tych dobrych ludziach, którzy dorzucają cegiełkę swej współpracy...

Wędruję na przeciwny koniec miasta, przez rozburzoną ulicę Karmelicką do cichej pracowni rzeźbiarskiej artysty-rzeźbiarza, Karola Hukana. I rzecz dziwna spotyka mnie ta sama życzliwość ale i ta sama małomówność. Po długich ceremonjach spoza szeregu prac o charakterze czysto religijnym wydobywa artysta projekt ewentualnego pomnika Brata Alberta. Objaśnia mnie. Krótko: „Pomnik". Odbija skromnością od wszystkich innych moich projektów bo pomnik ten nie może być literaturą, poetyckiem ugrupowaniem, ale ma być wyrazem cofnięcia się w siebie samego i prostoty. Stąd postać jest tylko sama, ujęta w linje jak najprostsze, a pod każdym względem sharmonizowane". I ten model pośród różnych projektów, jak kapitele do kościoła w Krynicy ze scenami „Wniebowzięcie" i „Ukoronowanie", z Chrystusem ukrzyżowanym, przeznaczonym do kościoła św. Aleksandra w Warszawie dziwnie swoim kontrastem harmonizuje: bo tam przemawia wielkość ducha Bożego a tu miłość i nicość człowieka, do godności urzeczywistnienia słów Bożych podniesionego...

Z pracowni artysty po tej wędrówce wychodzi się z głębokiem przeświadczeniem, że wszystko na świecie od skrajnej nędzy aż do najwyższej sztuki podporządkowane jest sile najwyższej — Bogu i tu znachodzi właściwe swoje urzeczywistnienie.

R. R.



KS. HENRYK WERYŃSKI.

Stara prawda smutna prawda

Właściwie: może nie powinniśmy powracać do wyrzutów i skarg, wprawdzie dobrze nam znanych i uzasadnionych, ale może zbyt bolesnych dla tych, co nie stracili poczucia ambicji narodowej.

Może raczej: wyrzuty te i skargi lepiej byłoby przetrwać w cichości, w sankturarjum własnego sumienia...

A jednak: „naród, który nie śmie powiedzieć sobie nagiej prawdy i swoje błędy nosi w ukryciu, idzie w śmierć...“ (jak to słusznie zauważył Kornel Ujejski w swem przemówieniu na zgromadzeniu ludowem 13 czerwca r. 1869 we Lwowie).

Przykrą prawdą i niepowetowanym błędem, który mści się na nas dotkliwie — to nasze niedbalstwo w sprawie kultu Świętych Polskich, nasza licha „dyplomacja“ wobec Nieba i Watykanu, gdy chodzi o zdobycie nowych Świętych, nasza inercja i brak solidnej organizacji w tej dziedzinie.

Wprawdzie jest już może lepiej — niż kilka lat temu, ale to „lepiej“ jest jeszcze ciągle... tak małą pozycją w ogólnym bilansie katolickim, że wstyd nam przyznać się do tego.

Dlatego ciągle musimy wracać do tego tematu. Musimy nawoływać, budzić.

Jakże aktualnemi są po dzień dzisiejszy słowa ś. p. Ks. Biskupa Władysława Bandurskiego: „Zobojętnieliśmy wszyscy! Straciliśmy moc wiary i ufności w pomoc i wstawiennictwo Świętych, w opiekę tych, którzy po tej samej — co my — ziemi chodzili, a jednak umieli stać się świętemi i znaleźć lepsze i trwalsze dziedzictwo, którego im nikt nie zabierze.

Zobojętnieliśmy!...

Nie modlimy się do świętych Patronów Polski, bo o nich nic, albo mało wiemy“. (Porównaj Ks. Bandurski: „Wielki Apostoł, błog. Strepa, arcybiskup lwowski“. 1909, str. 124).

Jakże zachowały swą moc wymowną i swą prawdę nieubłaganą słowa znakomitego zmartwychwstańca, Ks. Kalinki: „I z serca i z pamięci wyszli nam ci, których przecież Bóg dał nam na to, aby byli naszymi wodzami i opiekunami. A skoro tak, cóż za dziw, że i oni, mimo całej swej dla Ojczyzny życzliwości, nic jej dopomóc nie mogą. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My się do nich nie garniemy. Oni czekać muszą...“

Czas już — zatem — najwyższy, by zerwać z obojętnością naganną wobec naszych Świętych!

Ale to mało: sięgać jeno w przeszłość, odgrzebywać iskry święte, które tlą w popiołach i dawne nasze dzieje grzeją!

Trzeba nam ku nowym świętym iść!

Trzeba nam wychować pokolenie świętych, którzy odmieniają „oblicze ziemi“!

Oczywiście, że nie da nam Pan Bóg nowych Świętych wnet, jeśli dawnych naszych Patronów nie będziemy czcić i cenić dostatecznie.

Zresztą życie dawnych naszych świętych stanie się bodźcem dla nowych, stanie się siewem błogosławionym, z którego kiełkować będzie — w najbliższej przyszłości — nowe pokolenie świętych, jeśli ci dawni staną się... bliskimi.

Bóg niewątpliwie pragnie nam dać nowych Patronów na ważny okres dzisiejszy nowego życia niepodległego naszego narodu, na okres ważnej misji, jaką ma do spełnienia Polska wobec nawały bolszewickiej z jednej strony — a nowoczesnego pogaństwa hitlerowskiego z drugiej.

Jakże też trafnie współczesny myśliciel modli się dziś: „ale że widzę powagę chwili i pewny jestem, że Bóg wmieszać się musi w zmącony bieg życia ludzkiego, wierzę więc, iż za progiem są Święci i Święte, których do tego Bóg powoła, aby w sercach naszych rozniecili miłość do Ojczyzny naszej — do Kościoła Powszechnego..." (Prof. Uniw. Pozn. Stanisław Kasznica „Rozważania" 1935, str. 89).

Tak! Za progiem są Święci i Święte!

Ale — trzeba wymodlić ich u Boga...

A — jakże lepiej wymodlić, jeśli nie za przyczyną dawnych Świętych!

Ci, co byli wczoraj, podadzą rękę tym, co przyjść mają jutro.

Ale my, postawieni dziś na posterunku, musimy u tych, co wczoraj byli, szukać wstawiennictwa u Boga, by przyszli bohaterowie JUTRA.

Będziemy mieli tylu i takich Świętych, jakich sobie wymodlimy, na jakich sobie zasłużymy modlitwą naszego życia!

O przyspieszenie kanonizacji bł. Bronisławy.

(KRAKÓW. — KAP.). Siostry norbertanki w Krakowie na Zwierzyńcu pragnąc rozpocząć proces kanonizacyjny bł. Bronisławy w Rzymie, zwracają się z uprzejmą i gorącą prośbą do wszystkich czcicieli Błogosławionej, którzy przez Jej wstawiennictwo otrzymali łaskę cudownego uzdrowienia lub inną, by dokładne opisy tych uzdrowień zechcieli przesłać jak najrychlej pod adresem: SS. norbertanki Kraków, Zwierzyniec. Opisy muszą być stwierdzone podpisami lekarzy i świadków wiarogodnych. Jest to oczywiście obowiązek katolicki.

SS. norbertanki zapraszają przy tej sposobności tych wszystkich, którym część naszych Świętych leży na sercu, do szerzenia kultu bł. Bronisławy przez różne wydawnictwa propagandowe, które można nabywać na Zwierzyńcu w Krakowie, oraz do zbierania ofiar na fundusz kanonizacyjny (konto PKO. Nr. 414.112.

Zaznaczamy, że sprawą przyspieszenia kanonizacji bł. Bronisławy zajął się obecnie bardzo gorliwie jedyny Polak wśród postulatorów generalnych spraw kanonizacyjnych w Rzymie, O. Wojciech Topoliński, franciszkanin, Roma, Piazza SS. Apostoli 51. Italia.

Stanisław Witkiewicz

(Z Cyklu „Przyjaciele Brata Alberta").

Jednym z najbliższych przyjaciół i powierników Brata Alberta był znany twórca „zakopiańszczyzny", artysta - malarz, wybitny krytyk i literat, Stanisław Witkiewicz. Obu przyjaciół, związanych ze sobą od wczesnej młodości łączyły przedewszystkiem jednakie odczucia nędzy ludzkiej i niemal tesame osądy zagadnień społecznych, a różnili się tylko zapatrywaniami na sposoby ich rozwiązań. Brat Albert rozwiązywał te sprawy po franciszkańsku, a St. Witkiewicz więcej radykalnie. Wystarczy tutaj przytoczyć kilka zdań, wyjętych z różnych pism St. Witkiewicza.

Wedle Witkiewicza odwieczną kością niezgody, która ludzi dzieli i popycha do największej zbrodni jest fałszywe pojęcie „własności". We wstępie książki „Na przełęczy", pisze, że: „dotąd 99 części siły ludzkiej duszy wysiła się w służbie instynktu posiadania. Zdobywać, bronić i używać własności, to jest najistotniejsza treść życia jednostkowego i życia zbiorowego. Z tego powstaje chciwość, która nie ma granic, a „chciwość jest zawsze chciwością, czy przedmiotem posiadania będzie kupa gnoju, czy brylant, świecący, jak gwiazda".

Był czas, że Witkiewicz pragnął swoje poglądy na ludzką nędzę wyrazić pędzlem. W latach 1880-tych zabrał się do wydania pracy zbiorowej, aby polskiemu społeczeństwu pokazać rzeczywisty obraz „współczesnej Warszawy". Miało to być „pokazanie ludzi żywych wszelkiego rodzaju, od bogaczy do nędzarzy, którzy wyszukują resztki nieogryzionych kości po śmietniskach: od sióstr miłosierdza z duszą prostą, zatopioną w miłości i współczuciu dla nędzy i cierpienia do biednych kobiet, sponiewieranych w błocie ulicznem przez niemiłosierne i złośliwe stosowanie społecznej etyki". Wciągnął tedy tutaj do pracy Aleksandra Gierymskiego, Podkowińskiego i Pankiewicza i kazał im iść „od piwnicy do piwnicy, od nory do nory i malować jak to wygląda wyrobnica, chora obłożnie, dzieci drobnych pięcioro, mąż w szpitalu dla obłąkanych i t. d.". Do pracy rozpalili się wszyscy. Podkowiński dostarczył rysunków stróża, latarnika i śmieciarki warszawskiej. Gierymski ogromnego zbioru szkiców różnej nędzy skrajnej. Sam zaś Witkiewicz narysował wiele obrazków z życia targowiska za „żelazną Bramą". Owe rysunki ukazywały się w „Wędrowcu" i „Kłosach". Witkiewicz spodziewał się temi „obrazami nędzy warszawskiej, podkreślonemi wymownem słowem zatargać najgrubsze nerwy i poruszyć najbardziej zapłynięte egoizmem sumienia". Niestety! Warszawa okazała się dalej nieczuła.

Widocznie do zbudowania trwałego dzieła miłosierdzia prócz wzruszenia, wywoływanego słowy i obrazami trzeba czynu, a te-

go dokazał wtedy Brat Albert. Nie posiadał jeszcze przytuliska na Kazimierzu. Mieszkał przy ul. Basztowej. Malował bardzo wiele. Może wtedy najwięcej. Ale malował tylko w tym celu, aby obrazy sprzedać i za otrzymaną gotówkę nakarmić i okryć nędzarzy, których już wtedy koło siebie gromadził. Gdy brakło środków, zarobionych jego własną pracą, przyjmował jałmużnę, którą najobficiej dawali także ludzie pracy, a przedewszystkiem ubogie przekupki krakowskie. Miłosierdzie czynne, które nie ogranicza się na samych słowach, ale samo ze siebie czyni ofiarę rozradza się szeroko i bardzo żywotnie. Dlatego z pośród obu przyjaciół, Br. Albert, „zbierający opuchlaków“, zaszedł dalej, aniżeli Witkiewicz.

Zresztą i sam Witkiewicz zamyślał może o czemś więcej realnem. Oto bowiem pewnego razu udał się razem z Gierymskim do warszawskiego „Towarzystwa Dobroczynności“ i tam — jak opowiada dalej — „oprowadzani przez Siostrę miłosierdzia poznaliśmy wszystkie rodzaje biedy, ciał zestarzałych i dusz wynędzniałych, — od cynicznych dziadów, z zazdrością głodnych zwierząt zaglądających w miskę sąsiada, do rzeczywistej dramatycznej nędzy ludzi, którzy przeżyli swoje życie w czynach wzniosłych i dobrych, przeżyli silnie i nie mając ani sił do dalszej walki o istnienie, ani zaoszczędzonych środków, ani możności rzeczywistego umarcia, poszli do tego składu zszarzanych istnień ludzkich, do archiwum wyblakłych i zbutwiałych, rozsypujących się „szpargałów“, jakiemi są wszelkie przytułki“.

Szkoda, że w odniesieniu do tego zauważenia nie opisał później krakowskiego przytuliska, w którym jego przyjaciel, chcąc zapobiedz temu, aby przytulisko nie było „składem zszarzanych istot ludzkich“, założył tutaj „szkołę pracy“, dającą pensjonarjuszom zajęcie, aby nie byli „rupieciami“ — i zarobek, aby tym zarobkiem dopomagali innym, pracować nie mogącym. Szkoda także, że nie wysłuchał tutaj takich spowiedzi, jakie od wielu odbierał Brat Albert.

Br. W.

HELENA MODRZEJEWSKA.

Wspomnienia i wrażenia na polskiej scenie

Dla artystycznej młodzieży dom nasz był bodaj czy nie jedynym punktem stycznym i tym światem drugim i odrębnym: ludzi zajmujących wysokie społeczne stanowiska. I doprawdy ciekawe były wymiany myśli i starcia, między tymi sprzecznymi żywiołami, z których młodzi nasi „cyganie“, tracili może nieco ze swej krańcowości w poglądach i zapatrywaniach, lecz nawzajem pozostawiali ślady swego młodego zapału na umysłach ludzi „ze świata“! Mój mąż lubił te przyszłe wielkości i oni lubili jego;

a żywy jego umysł tak umiał przystosować się do ich młodocianego zapału, że przylgnęli doń szczerze i pilnie do nas uczęszczali, czując się u siebie w naszym domu, któremu dodawali blask świetności swemi zaletami, dowcipem i oryginalnością.

Trzech przedewszystkiem młodych artystów nie opuszczało żadnego niemal naszego wtorku, a była to najprzedziwniejsza trójca, jaką widziałam kiedykolwiek. Największy z nich był Józef Chełmoński, prawdziwie wielki malarz, którego obrazy podziwiali wszyscy. . . . .

. . . .

Prócz niego do owej trójcy należeli: Adam Chmielowski i Stanisław Witkiewicz. Na nasze wtorki wszyscy trzej zwykli byli przychodzić wcześniej, przed innymi gośćmi, by spokojnie sobie z nami pogwarzyć. Często zdradzali swą obecność nim jeszcze dotknęli dzwonka: przed drzwiami Józef Chełmoński wykonywał z przejęciem na fujarce smętną jakąś piosenkę, a gdy się drzwi rozwarły, nie przerywając grania, w burce i kapturze, zasuniętym na oczy, niby pasterz jakiś czy pustelnik, kroczył do bawialni, w piosenkę swą zasłuchany, jakby nią chciał czarować swe stado lub ptactwo, na nic zresztą nie zważając; dopiero gdy piosenkę zakończył, odrzucał w tył głowy kaptur i pytał ich, jak im się piosenka podobała? A grywał najrozmaitsze niektóre gdzieś posłyszał i pochwycił, inne sam komponował. . .

. . . .

. . . .

. . . .

Drugim w owej trójcy był Adam Chmielowski: duch ucieleśniony — i raczej duch niż ciało — a zarazem wcielenie wszystkich cnót chrześcijańskich i szczerego patrjotyzmu, żyjący jedynie poezją, sztuką i miłosierdziem, natura szlachetna, czysta, bez krzty samolubstwa, która mogła była obrać sobie za dewizę: „Pokój na ziemi ludziom dobrej woli, a na wysokościach chwała Bogu i sztuce“! Udział w powstaniu opłacił utratą jednej nogi. Jako malarz uchodził za świetnego kolorystę. Raz wyraził mi pragnienie malowania mego portretu, a że w naszem mieszkaniu patrzącem na południe, nie było dobrego światła, zapytał mię, czy nie chciałabym przyjść do ich (owej trójcy) pracowni, oczywiście, „o ile zdołam wdrapać się tak wysoko“.

— Ależ chętnie wdrapiemy się do was — odparł mój mąż i zaraz nazajutrz puściliśmy się na tę wyprawę. W domu oznaczonym przez Chmielowskiego, stróż objaśnił nas, że pracownia znajduje się na piętrze... siódmem! Spojrzeliśmy po sobie i niemal równocześnie powtórzyliśmy za stróżem: — Na siódmem piętrze!

Wyspinałam się, ale na górze tak byłam wyczerpana, że wsparłam się o ścianę, by przyjść nieco do siebie, zanim pokażę się przyjaciołom. Ale drzwi rozwarły się natychmiast i trzech artystów wypadło na nasze spotkanie, Chmielowski spostrzegł



H. Modrzejewska pozuje do portretu. mal. Z. Wierciak

natychmiast moje znużenie i począł wymyślać sobie, że mię na takie zmęczenie naraził.

Pracownia była obszerna, z północnem światłem tak cenionem przez malarzy, ale zimna i o gołych ścianach. Wsparte o jedną ścianę stało olbrzymie płótno, naciągnięte na krosnach, a na niem, naszkicowana węglem postać niewieścia, conajmniej wysokości półtora sążnia.

— Cóż to ma przedstawiać? — zapytałam naiwnie.

— Ależ to portret pani — odparł młody artysta — postać naszkicowałem z pamięci, by tylko zdać sobie sprawę z rozmiarów.

— Które wypadły jakoś zbyt olbrzymio, — zauważył mój mąż.

— Dobrze pan mówi — odpowiedział artysta poważnie — tak jest, olbrzymio, gdyż żonę pańską winno się malować inaczej niż zwykłych ludzi. Zresztą ten portret wisieć będzie wysoko ponad wejściem do Muzeum narodowego, które niewątpliwie kiedyś powstanie.

Nie chciałam mu się sprzeciwiać, więc choć nie bardzo uśmiechała mi się myśl takiego wyolbrzymienia mej skromnej osoby, zaczęłam mu pozować. Chmielowski szkicował mą głowę na osobnem płótnie, mój mąż rozmawiał z dwoma innymi artystami, a ja w wolnych chwilach rozglądałam się po pracowni. W jednym rogu piętrzyła się kupa widocznie pościeli, przykryta sta-

rannie pledem i skórą niedźwiedzią. Poza tem całe umeblowanie składało się z biało heblowanego stołu, dwóch krzeseł i jednego kufra. Zresztą pracownia była pusta, i gdyby nie liczne szkice, porozwieszane na ścianach, pustka ta byłaby wręcz gnębiącą. Wszystko świadczyło aż nadto wymownie o biedzie koczujących tu artystów, a jednak jeden z nich, zamiast myśleć o jakimś zarobku, malował właśnie olbrzymi portret, by ofiarować go nieistniejącemu Muzeum!

Drodzy, fantastyczni marzyciele!

Chmielowski portretu nie skończył nigdy. Nie chciał mię narażać więcej na wspinanie się na siódme piętro, więc oświadczył, że odracza go aż do chwili, gdy stać go będzie na wynajęcie pracowni na piętrze pierwszym. Chwila ta nie nadeszła nigdy.

Gdy po latach, po powrocie z Ameryki, bawiłam w Krakowie, spotkałam tam Chmielowskiego, odzianego w szarą, zgrzebłą, mniszą opończę; zwał się już „Brat Albert".

Szlachetne, marzycielskie jego wylanie znalazło sobie inne ujście, i porwał się na urzeczywistnienie podniosłych porywów innego wielkiego marzyciela: św. Franciszka z Assyżu. Dobrowolnie skazał się na życie w nędzy, by do nędzarzów się zbliżyć i nieść im pokrzepienie i ukojenie. Lubię marzyć, że i teraz nie zaniechał swej sztuki, że odszukuje modele po brudnych zaułkach i, malując zwyrodniałe twarze, poucza nędzarzy swem zwięzłem i wesołem słowem, że to ich przeszłe życie tak się zapisało wstrętnymi rysami na ich twarzach — i jak je stamtąd zmazać można i nakreślić na nich piękno, zamierzone ongi przez Boga. A oni uwielbiają go niezawodnie za jego cierpliwość, słodycz, prostotę i pogodę ducha.

Trzecim i najmłodszym członkiem owej trójcy był Stanisław Witkiewicz, zwany krótko wśród przyjaciół „Stachem". W czasie, kiedyśmy go poznali był rumianym dwudziestoletnim chłopcem z wielkiemi, błękitnemi oczyma, wyglądającemi spod grubych i ciężkich czarnych brwi. Już wówczas ceniono wysoko i podziwiano jego rysunki ołówkowe i kredkowe, ale nikt nie odgadywał pisarskiego jego talentu, który objawił się później.

Przedruk z „Czasu" z dn. 5. IX. 1910 r. Nr. 403.

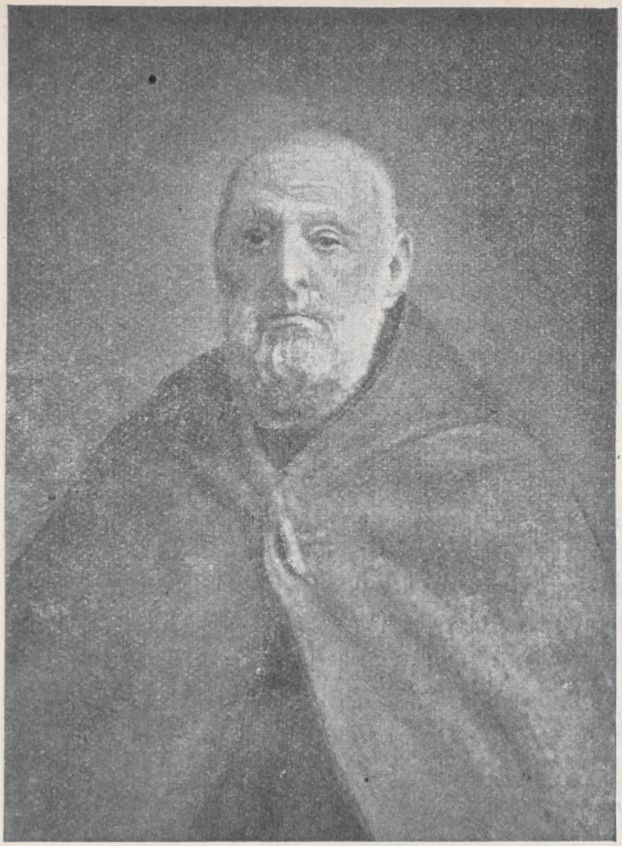
Wspomnienie

Brata Andrzeja jednego z pierwszych wiernych pomocników Brata Alberta.

Brat Albert założył przytulisko w Krakowie w r. 1888. Przedtem mieszkał koło Kapucynów, gdzie miał pracownię malarską i wzruszony widokiem ubogiego, który do niego przyszedł po jałmużnę udał się do ks. kardynała Dunajewskiego, gdzie zobowiązał się do pracy nad ubogimi. Z początku mieszkał razem z nimi w przytulisku gdzie roztoczył nad nimi opiekę moralną, z czego nie wszyscy byli zadowoleni, przedtem bowiem mogli przychodzić, kiedy im się podobało, pili wódkę (łapali i piekli koty). W czasie mego wstąpienia do zakonu w r. 1890 Bracia mieszkali na Skałce u OO. Paulinów w wynajętem mieszkaniu. Braci było wtedy ośmiu. Jeden z Braci był w przytulisku przy ubogich. Oprócz opieki nad ubogimi, Bracia zajmowali się szewstwem, wyrobem płótna, krawiectwem, wyplataniem koszyków i słomianek, a jeden z Braci utrzymywał porządek. Bracia gotowali sami jedzenie dla siebie i ubogich, jak również sami prali bieliznę. Utrzymywali się z kwesty i wyrobu krzeseł z początku z obcego materjału (z żydowskiej fabryki). Dopiero po spaleniu się żydowskiej fabryki i po pożyczeniu 2000 guldenów od hr. Dębickiego za pośrednictwem hr. Tarnowskiej założyli własne warsztaty. Krzesła były rozkupywane nawet do Ameryki. Przed założeniem warsztatów panowało takie ubóstwo, że nie było za co chleba kupić. Niektórzy Bracia obawiając się, że po śmierci Br. Alberta zostaną bez środków utrzymania, wystąpili z zakonu tak, że została połowa. Ubodzy mieszkali na pl. Paulińskim w starym parterowym domu gdzie dostawali jedzenie i nocleg. Br. Albert kupił dla mnie skrzypce, na których grałem ubogim, a oni śpiewali kolendy lub inne pieśni.

Dla kobiet było przytulisko dla noclegu administrowane z początku przez Magistrat. Nie było tam żadnej opieki moralnej. Br. Albert ulitował się nad losem tych kobiet i powołał z Podlasia dziewczęta, chcące się poświęcić dla biednych i one po otrzymaniu habitów od ks. kardynała Dunajewskiego, utworzyły zakon SS. Albertynek i objęły przytulisko przy ul. Skawińskiej w wynajętym domu. Oprócz tego wyrabiały sukno na habity. Z ul. Skawińskiej Siostry i Bracia przenieśli się na ul. Krakowską do domu ofiarowanego przez Magistrat.

W listopadzie 1892 r. 2 listopada wezwano nas do Lwowa do objęcia przytuliska. Zastaliśmy tam opłakane stosunki: 30 mężczyzn i 30 kobiet w dwóch salach o wspólnem wejściu, konkubinaty i nieślubne dzieci. Uporządkowaliśmy te stosunki przez wydostawanie metryk z parafji i ułatwianie ślubów. Dopiero Magistrat wybudował dom na przytulisko dla kobiet. Objęły je Siostry, a stare przytulisko zostało dla mężczyzn. Tutaj również przytulisko utrzymywało się z kwesty i wyrobu krzeseł, koszyków i słomianek.



Brat Albert malował Leon Wyczółkowski przyjaciel z czasów Monachijskich.

Przed portretem

(obraz oświetlony barwnie)

OSOBY: Sztuka — Sława — Bogactwo — Miłosierdzie.

SZTUKA: (paleta w ręku — lira, ubrana na biało i seledynowo).

Bracie Albercie!

Kochałeś mnie kochałeś
Całą potęgą serca wielkiego,
Ale mnie zapomniałeś,
Dla ideału innego.—

Ach miłosierdzie — to moja rywalka,
Choć niewolniczo posłuszną ci byłam,

Lecz z MIŁOSIERDZIEM trudną była walka
Ono twe serce zdobyło.

Czekałam długo ale daremnie,
Ty zda się jakby żartowałeś zemnie —
W końcu odeszłam, choć do sławy ciebie
Wieść miałam na wyżyny.—

Innej ty sławy poszukałeś w niebie
Inne zdobyłeś wawrzyny
Więc pozwól, że dziś w serca pokorze
Hołd uwielbienia pamięci twej złożę.—

SŁAWA: (we wieńcu, różowo ubrana)

Bracie Albercie!

Chociaż pogardy od ciebie doznałam,
Jednak serdecznie cię umiłowałam
I całem sercem wielbiłam
A choć ci była głupstwem ma wielkość
Ja swoje jednak zrobiłam.—

Bo imię twoje przezacny Bracie
Większą się chwałą odzieje,
Gdy Pan Bóg dobry na to pozwoli
Postać twa zajaśnieje —

Nie marnej sławy ale świętości
Zabłyśniesz blaskiem świateł w koronie.
Tyś inną drogą szedł do wielkości,
Włóż aureolę na skronie.
I pozwól Boże uczcić w sobie łaski
Mnie sławie, z hołdem rzucić ci poklaski.

BOGACTWO: (róg obfitości w ręku — bogato ubrane pąsowo lub żółto).

Rzuciłeś skarby świata,
Ubóstwo było ci chlubą,
W nędzarzu widziałeś brata,
Miłosierdzie było ci lubą,

I dla tej lubej wszystko co miałeś,
Tak hojnie, tak szczodrze oddałeś.

Więc czczę w tobie wielką cnotę
Droższą niż me skarby złote.
O cześć ci cześć!!!

MIŁOSIERDZIE: (Ubrana na biało welon spada po ramionach i pokrywa dwoje ubogich dzieci — ma serce albo przypięte na piersiach albo w ręku — biednych tuli do siebie).

Ja matka nędzarzy byłam ci kochanką,
Byłam oblubienicą i serca wybranką.
Ubóstwo szło z nami wparze
I jak Pan Bóg każe,

Było zachowywane przez życie całe.
Na większą twoją chwałę.
Więc od maluczkich i od wzgardzonych
Ojcze nędzarzy przyjm hołd uniżony!!

(dzieci składają ukłon).

S. Dolorosa Serafitka

Starawieś, dn. 22. III. 1920.

Z listów o Bracie Albercie

WIELCE CZCIGODNY OJCZE!

Mocno przepraszam, że na łaskawy list z 4. III. b. r. dopiero teraz odpisuję, ale ciągle dawałem rekolekcje Siostrom i mawiałem Konferencje, które mnie wstrzymywały. Chętnie piszę, bodaj coś o moim drogim Nowicjuszu, Czcigodnym Bracie Albercie, którego — niestety — krótki czas miałem pod swoją opieką. W tym zaś, jakkolwiek krótkim czasie, poznałem, jaka to był dusza wybrana od P. Boga i do tak zbożnego wielkiego dzieła przeznaczona. O jego lękliwościach i trwogach duchowych słyszałem od innych nieco później, kiedy on już był w domu, że jego P. Bóg dziwnym sposobem wyrwał w jednej chwili ze samotności, w której przez niejaki czas był pogrążony i że, generalną uczyniwszy spowiedź, do normalnego powrócił życia. Następnie już nie wiedziałem nic o Bracie Albercie, ponieważ już mnie posłano do reformy Zakonu Bazyl.

Pierwszy raz widziałem Brata Alberta w Krakowie przy furcie naszej Rezydencji u św. Barbary, kiedy na krótki czas musiałem pojechać do Krakowa na pracę.

Widziałem Go wtenczas w szarym habicie jako Zakonodawcę tak pożytecznego Zgromadzenia.

O. Jackowski, nasz Prowincjał i dawniejszy Rektor, który bardzo poważał Brata Alberta, mówił razu pewnego przed Panami, którym on dawał rekolekcje: „Moi Panowie, bardzo Wam polecam Brata Alberta; nie powiem, żeby On już był świętym, ale wiele rzeczy robi, które Święci robią".

Raz też odwiedził nas Br. Albert w Dobromilu, gdzie byłem Profesorem, a 9 lat Rektorem. Wielce nas wszystkich budował swoją skromnością, prostotą, pogardą świata i pobożnością.

Słyszałem też, jaką ufność on zawsze objawiał w Opatrzność Bożą, która cudownym sposobem jego Zgromadzeniem się opiekowała — ale więcej z pewnością o tem będzie mógł świadczyć O. Pydynkowski, który od samego początku był Duchownym, jak wiadomo, Albertynów.

Jeden szczegół jeszcze przytoczę, o którym wiem z ust jednego brata, który na kwestę przyjechał do nas do Dobromila. Mile przyjąłem tego brata, wziąłem go do refektarza (bo bardzo poważałem takich dobrych braci i skromnych) i przypadkiem zapytałem się go, skąd on jest? Na to odpowiedział mi z wielką skromnością: „Przepraszam Ojca, że na to nie odpowiem, ponieważ Nasz Brat Albert uczy nas, żebyśmy zapomnieli o świecie i rodzinie i o tem nic nie mówili. Ta rzecz bardzo mi się podobała.

— Szkoda, że więcej nie wiem co pisać o kochanym Bracie Albercie, ponieważ urzędowania moje i zajęcia prawie nigdy mnie nie przybliżały do drogiego Brata Alberta.

Chętnie zaś i tą drobnostką przysłużyć się pragnę Wielce Czcigodnemu Ojcu, prosząc pokornie, aby w Swoich łaskawych modlitwach pamiętać raczył o mnie.

Wielce Czcigodnego Ojca
niegodny sługa w Chrystusie
Wojciech Marya Baudiss S. J.

Wielebny Ojcze.

Stosownie do życzenia, wyrażonego mi w dniu wczorajszym, piszę tę notatkę, o znajomości mojej ze ś. p. Adamem Chmielowskim, późniejszym Ojcem Albertem, fundatorem Zakonu Ojców Albertynów.

Otóż działo się to w roku 1872. Byłem wtedy młodym chłopcem 18-sto letnim. Przyjechałem do Monachjum w celu kształcenia się w malarstwie, zamieszkałem przy ulicy Sekwantalerstrasse. Los chciał, że o piętro niżej mieszkali bracia Gierymscy, Maksymiljan i Aleksander, jakoteż bracia Chmielowscy, z których starszy Adam zajmował się malarstwem. Czem był i jak się nazywał młodszy — niepamiętam.

Naturalnie poznaliśmy się i o ile pozwalała na to różnica wieku zbliżyliśmy się do siebie. Wspomnienia o Ojcu Albercie są zamglone przez czas. Pamiętam jednak, że był wysokiego wzrostu z dużą brodą. Twarz miał, o ile pamiętam, piękną, o dużych wyrazistych oczach. Usposobienia był wesołego, powiem nawet figlarnego. Miał jedną tylko nogę — drugą stracił w powstaniu 1863 roku. Sztuczną nogę używał zręcznie, tak że prawie niebyło znać kalectwa. Pamiętam, że idąc raz ulicą, podstawił swą protezę pod koło przejeżdżającej dorożki, ku wielkiemu przerażeniu woźnicy, a ku radości naszej, towarzyszącym mu. Jednem słowem niezdradzał wtedy dążności do stanu duchownego, który się tak silnie u niego w kilka lat później odezwał. Więcej o Ojcu Albercie nic niemogę powiedzieć, gdyż i on i ja opuściliśmy Monachjum i straciłem go z oczów. Później dopiero dowiedziałem się o Jego karjerze, ale Go już niespotkałem.

Mam nadzieję, że tych słów kilka wystarczy jako drobna cegiełka do scharakteryzowania ogólnego ś. p. Ojca Alberta.

W nadziei tej załączam wyrazy głębokiej czci dla Ojca i pozostaję z prawdziwym szacunkiem

Jan Rose.

Lwów, dn. 21. X. 1934.
ul. Nabielaka 37.

Moje wspomnienia

o ś. p. Bracie Albercie

Brata Alberta widywałam bardzo często w Kuźnicach (Zakopane), będąc uczennicą ś. p. Pani Jenerałowej Zamojskiej w latach 1907—1908. Miał On wśród nas reputację świętego, a w Zakładzie czczono Go i wenerowano jak jakiego drugiego Poverello! Widzę Go jeszcze przyjeżdżającego w swoim ubożuchnym wózku, zaprzężonym w nędzną szkapinę. — Robił On na mnie za każdym razem to samo głębokie wrażenie. Widziałam, że był dawniej malarzem wytwornym i eleganckim i spoglądałam z podziwem na Jego gruby, sztywny habit i na tę skrajną nędzę, którą się otaczał. I mówiłam sobie: oto Człowiek, który kocha Boga bezkompromisowo, i który rzeczywiście realizuje rady ewangeliczne. Imponowała mi ta całkowitość, ta logika w czynach i czułam się wzniesioną w krainę wyżyn Bożych. Z jednej strony, serce we mnie wzbierało radością, że tacy ludzie jeszcze są, z drugiej, głęboko się czułem zawstydzona, na widok mojej karłowatości i niedociągnięć stałych i nędzy przyziemskiej. I patrzałam na tę postać czcigodną opromienioną jakimś nimbem świętości. W te oczy jasne, dziecięce niemal, a pełne światła Bożego. Na tę twarz taką jakąś dziwnie pogodną i rozradowaną duchowo, a tak

dobrą, że uderzała tą dobrocią na pierwszy rzut oka jako cecha charakterystyczna. Wspomnienie to wyrywało się w duszy mojej, jako jedno z najcudowniejszych przeżyć w mem życiu bo czułam, że się zetknęłam pośrednio z Bogiem.

Nieraz się modlę do Brata Alberta w kłopotach moich drobnych i większych i zawsze mię wysłuchuje lub pomaga.

M. Konstancja Reyska.

Lwów, dn. 8. X. 1934.

Wspomnienie

Było to bardzo dawno, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Babcia moja chciała zakupić parę „giętych" krzeseł i wybrała się ze mną do Braci Albertynów przy ul. Krakowskiej. Wtedy to zobaczyłam raz pierwszy Brata Alberta.

W dzieciństwie wrażenia przez nas odbierane są nieraz dziwne—czasem coś wydaje nam się olbrzymiem—a później przekonujemy się, że to my tylko byliśmy bardzo mali — tak było i ze mną—pamiętam, że próg, który miałam przestąpić wydawał mi się tak wysokim, że myślałam, iż nie potrafię wejść tam, a przecież widuję i teraz ten próg, który jest zwykłym progiem, tylko mnie wtenczas widocznie dużo rzeczy wydawało się barykadą.

Weszłyśmy — Brat Albert powstał z za stołu, przy którym coś pisał, przywitał się z moją Babcią, która kazała mi pocałować Go w rękę, następnie zaprowadził nas do pracowni mebli. Babcia zamówiła krzesła, o potem zwiedzała schronisko. Pamiętam, Brat Albert szedł prosto trochę tykając, szczudło stukało o podłogę. Pmiętam jakiś warsztat tkacki, na którym ktoś tkał chodnik ze skrawków płótna; taki chodnik też Babcia kupiła, był długie lata u nas w Szczawnicy rozścielany na podłodze.

Wiem, że myślałam sobie wtedy, że Bratu Albertowi musi być bardzo gorąco w tym habicie wojłokowym. Twarzy dokładnie nie pamiętam, bo jakoś za wysoko było patrzeć, pamiętam tylko, że miał jeden trzewik i to mnie bardzo zaintrygowało. Kiedy wychodziłyśmy Babcia złożyła ofiarę na zakład i obiecała dla biednych dać bieliznę po zmarłym moim ojcu. Pamiętam, jak Babcia opowiadała potem mojej Mamie o tej naszej wizycie w schronisku Brata Alberta i mówiła, że Brat Albert aż się zarumienił z radości, gdy wspomniała, że może ofiarować tę bieliznę dla jego biednych. Po tem widziałam raz Brata Alberta jadącego jakimś niziutkim drewnianym wózkiem.

Kiedy p. Stanisławowa Chmielowska z domu Kłopotowska, jako wdowa mieszkała w Krakowie i chodziła na lekcje malarstwa na kursa artystyczne im. Baranieckiego, bywała codziennym gościem u nas, gdyż poznałam się z nią na kursie rysunków

Profesora Siedleckiego Józefa. Dzieci jej Teodora, Adama i Mewę też bardzo lubiliśmy. Podczas wojny na froncie bukowińskim spotkałam Teodora, jako oficera Legjonów, który padł na polu walki. Pamiętam, jak mu pięknie było w mundurze.

Dawne dzieje — czasem mi się zdaje, że to wszystko sen — tak wiele widziałam w życiu złego i dobrego... tak wiele piękna i smutku.

Mam mój portret, który robiła p. Chmielowska, pamiątka tamtych czasów. Kiedy to przychodząc do nas opowiadała nam o swoim szwagrze Adamie (Bracie Albercie). Pani Marja Chmielowska była idealną żoną i matką, do dziś pamiętam jak wyrażała się o swoim mężu, który widocznie był idealnym człowiekiem, a życie w Kudryńcach wielkiem szczęściem być musiało. Pani Chmielowska miała tekę ze szkicami Gierymskiego, ale szkiców Brata Alberta nie posiadała.

Czemuż nie wiedziałam, że trzeba notować każde słowo, które mówiła o życiu Brata Alberta?

Czemu nie miałam wtedy tyle lat, by móc decydować o sobie?!

Tam trzeba było iść pomagać przy warsztacie tkackim rękom nędzarek!

Tam trzeba było poprosić „Ojca ubogich“ „każ mi być pożyteczną!“

Michalina Janoszanka.

Piotrków, dn. 9 kwietnia 1899.

Z listów do Brata Alberta

Drogi mój Adasiu! Dawno już, bardzo dawno nie miałam wieści o Tobie, aż dopiero w tym roku przypadkowym sposobem dowiedziałam się o drogim zawsze dla mnie Braciszku. Zapewne nie będzie Ci obojętnem dowiedzieć się coś o nas, więc choć bardzo pobieżnie opowiem cośkolwiek i znając Twoje zawsze tkliwe i zacne serce wiem że zechcesz mię posłuchać. Od czasu ostatniego widzenia Cię w Warszawie dużo się zmieniło w naszej Rodzinie — a najprzód — już niema drogiej naszej Matki — zmarła d. 18 Listopada 1895 roku — znałeś Ją dobrze — więc pojmujesz, jaką boleścią przejął nas Jej zgon — żyła jak męczennica, — umarła jak święta. Ojciec nasz znacznie wcześnie rozstał się z tym światem bo jeszcze d. 25 Marca 1879 r. — Najstarsza moja Siostrzyczka Aniela Borzysławska zmarła 1-go Maja 1898 r. pozostawiła dwóch synów: Wacława i Kazimierza i córkę — Marynię. Znane Ci zapewne losy Antosia był on i jest zawsze dla nas powodem do zmartwienia — nic na niego nie działa — ani śmierć Ojca ani — Najukochańszej Matki — trwa ciągle w swych nałogach. — Zosia Celińska — jest matką obecnie 6-go dzieci — najstarszy Janek już ożeniony w tym roku, reszta potrochu pracuje i przychodzi

w pomoc domowi — a reszta uczęszcza do szkół — mają tylko jedną córeczkę Aleksandrę — chrześniaczkę naszej Matki — która ukończyła w tym roku kurs buchalterji i pracuje w tym kierunku. Mania już nie żyje — Roman — pracuje na kolei — ma troje dzieci — najstarszy już pracuje na siebie. A teraz coś o sobie... masz przed sobą Siostrę Miłosierdzia — ale dziwne są drogi — które mnie poprowadziły do Zgromadzenia — dziś jeszcze nieraz sama sobie nie wierzę. Jeżeli pozwolisz, opowiem Ci jak się to stało: po ukończeniu nauk dostałam patent i pracowałam jako nauczycielka najpierw w szkole elementarnej a potem w Gimnazjum Żeńskiem w Warszawie — zawsze mieszkając przy Matce mej ukochanej — wreszcie poznałam zacnego i szlachetnego człowieka Inżyniera skończonego, który nie zważając na trudne moje położenie rodzinne — połączył się ze mną węzłem dozgonnym, a dla mej Matki stał się synem najprzywiązańszym, to też nie rozstawałam się z Nią nigdy, bo nie dozwolił, ażeby nawet chwilowo Matka nasza przebywała gdzieindziej — zażywaliśmy więc—prawdziwego szczęścia jakie tylko ten świat dać może—przeszedłszy przed tem różne koleje życia — cieszyłam się podwójnie, bo widziałam Drogą Matkę otoczoną wygodą, spokojem i miłością — czułam się zupełnie szczęśliwą, tak szczęśliwą jak mało ludzi na świecie — bo posiadałam miłość człowieka, który był prawdziwym ideałem i czemś nadziemskiem — posiadał bowiem rzadkie zalety, o które teraz daleko trudniej na świecie. Rodzina Jego już dawniej mi była znaną, a nawet Jego Matka znała naszą Babkę i całą rodzinę Borzysławskich i Kłonickich — stąd też zażyłość była wielka bo nasze Matki wspólnie opowiadały sobie latka minione. Lecz Panu Bogu spodobało się zasmucić nas bardzo — bo zaledwie minęło 2 i pół roku naszego pożycia, choroba krótka lecz zabójcza wyrwała Go spośród nas. Z chwilą Jego śmierci wszystko zmieniło się dla mnie, świat i jego przyjemności przestały mnie zupełnie obchodzić, nie miałam odwagi wrócić do dawnego sposobu życia — uciekałam od znajomych, dnie całe spędzałam na Powązkach przy Jego grobie, a Matka moja wespół ze mną bolała... W końcu zrozumiałam, że tak zawsze żyć nie można, że trzeba z sobą coś postanowić—zaczęłam więc robić starania do Zgromadzenia S. Mił., tu natrafiłam na poważne przeszkody, gdyż przyjmują tylko panny, a przedemną na lat parę przyjęli jedną — zaledwie wdowę. Długo więc przeciągnęły się moje starania, dopiero po skończonym roku żałoby wstąpiłam do Zgromadzenia, opuściłam moją Drogą Matkę — która chociaż żegnała mię ze łzami, to jednak kontentna była, że widziała mnie ustaloną i na dobrej drodze. Patrzała jeszcze na mnie przeszło lat pięć i błogosławiła przed złożeniem ŚŚ. Ślubów, które u nas składają się po pięciu latach próby.

Wszystko już napisałam o nas, a przyznać muszę, że to co piszę tak mnie i w tej chwili dużo kosztuje — że od łez powstrzymać się nie mogę, stąd i pismo moje zapewne nieczytelne, wybacz Drogi Braciszku. Z opowiadania moich znajomych, którzy mają rodzinę w Krakowie, jak również i z pism, a mianowicie z „Kraju" wyczytałam o obszernej działalności Twej dla dobra najnieszczęśliwszych i najbiedniejszych — to wszystko co czynisz dla Ubogich nie zadziwia mię wcale znanem jest bowiem Twe zacne serce w stosunku do rodziny — a szczególniej do mojej ukochanej Matki



Petronela Chmielowska ciotka i opiekunka Brata Alberta.

— która nigdy nie mówiła bez łez o Tobie — taką Cię tkliwą kochała miłością a więc i w sercu mojem masz także bardzo poważne miejsce — chociaż znałam Cię tylko w dziecinnym jeszcze wieku będąc, a potem zaledwie raz jeden będąc młodą panienką — nie wiele więc mogę Ci być znaną a i sama więcej z opowiadania mej Matki wyniosłam o Tobie wspomnień i to serdeczne siostrzańskie uczucie jest tak prawdziwe i szczere, że o tem nawet przekonywać Cię nie potrzebuję. Nie wiem czy Oddawczyni tego listu p. Jadwiga Strączyńska będzie miała szczęście Cię widzieć — ale list ten zostawi — proszę Cię przeto zechciej mi odpisać coś o sobie, a tym wyświadczysz mi wielką przyjemność. Wątpię czy w tem życiu zobaczę Cię kiedy jeżeli masz swoją podobiznę prześlij mi ją. Wierzaj Drogi Braciszku, że w całej naszej rodzinie przechowujemy dla Ciebie najserdeczniejsze o Twej Osobie wspomnienie. Marjan będąc w Warszawie odwiedzał nas, bardzo mi tem wielką wyświadczył przyjemność. Staś wiem, że raz był w Warszawie ale się z Nim nie widziałam. Jadwisi także już parę lat nie widziałam. Wogóle po wstąpieniu do Zgromadzenia nie odwiedzam Rodziny, a i obecnie będąc w Piotrkowie tych tylko widuję, którzy do mnie przyjadą — zresztą listownie się komunikujemy od czasu do czasu z najbliższą rodziną. Ze znajomymi nigdy nie mówię o mej przeszłości, bo to zawsze dla mnie przykra rozmowa przeto i ta Pani — oddawczyni mego listu nic o mnie nie nie, wolę, żeby nikt o tem ze mną nie mówił. Proszę Cię najuprzejmiej odpisz mi choć słów parę, a także polecam Twej pamięci Drogą moją Matkę i Ojca i Najdroższego memu sercu Leona, westchnij za nimi do Pana i nie zapominaj o nas w swych modlitwach, a ja w zamian o Tobie pamiętać będę, kończę polecając się Twej pamięci i pozostaję najprzywiązańszą Siostrą

Aleksandra Kieszkowska S. M.
z Grabowskich.

PODZIĘKOWANIA

za otrzymane łaski za przyczyną Sługi Bożego Brata Alberta.

Zakopane, dn. 5 stycznia 1936 r.

Do Szanownej Redakcji „Nasza Myśl“

Jako ten, który dzięki wysłuchanym modlitwom do Brata Alberta w ciężkiej chorobie postanowił publicznie ogłosić swoje wyzdrowienie, zwracam się do Szanownej Redakcji o łaskawe umieszczenie kilka słów co do znajomości jeszcze żyjącego Brata Alberta podczas pobytu w Zakopanem w roku 1914 i cudowne wyleczenie mnie za wstawiennictwem Brata Alberta w roku 1935.

Jako chłopak 15-letni podczas wojny byłem świadkiem, jak Brat Albert będąc w Zakopanem chodził za kwestą. Często przychodził do domu moich Rodziców, gdzie moja matka obecnie żyjąca udzielała Bratu Albertowi pomocy. Przysłuchiwałem się wówczas rozmowom i dziś przed oczyma mam obraz twarzy Brata Alberta, z której biła jakaś cudowna dobroć. Ta dobroć i ufność utkwiła mi na całe życie w pamięci.

W roku 1935 zachorowałem tak poważnie, że nie rokowano mi nadziei. Ciągłe krwotoki żołądkowe wyczerpały mnie tak strasznie, że lekarze zwątpili w moje uzdrowienie. W tym czasie przyjechał mój brat Ks. Wojciech, który przywiózł mi kawałek materji z habitu Brata Alberta. Począłem się gorąco modlić do Niego wierząc, że dobroć Jego modlitwy moje wysłucha.

Czułem się słaby i nic nie jadłem, ale znosiłem cierpienia bo tak chciał Pan Jezus. W stanie beznadziejnym zostałem przewieziony do Krakowa na operację, gdzie w szpitalu przez miesiąc tylko sztucznie odżywiany w gorących modlitwach do Brata Alberta oczekiwałem operacji. Transfuzja, operacja, wyjęcie części żołądka w stanie ostatecznego wyczerpania. W tymto czasie modląc się do Brata Alberta ślubuję Mu, że po uzdrowieniu pójdę na Jego grób podziękować za wszystkie łaski doznane za Jego wstawiennictwem. Jakąż pociechą w mem cierpieniu były kwiaty, które łaskawie przynieśli mi Bracia Albertyni z grobu Brata Alberta. Tuliłem je do serca i zdawało mi się, że jako młody chłopak widzę Brata Alberta, jak jest u moich Rodziców i mówił mi dobrotliwie „wytrwaj będziesz uleczony“. Po przebyciu operacji począłem przychodzić do zdrowia i odtąd nie odczuwam żadnych cierpień, jestem tak zdrowym, jak gdybym nigdy nie przechodził tak ciężkiej choroby. To też na tem miejscu stwierdzam, że dzięki gorącym modlitwom do Brata Alberta za Jego wstawiennictwem Bóg zwrócił mi zdrowie.

Modlę się codziennie do Brata Alberta i jestem i pozostanę jednym z tych, którzy modlą się do Boga o beatyfikację Brata Alberta, aby widząc Go na ołtarzach tem skuteczniej do Jego wstawiennictwa się uciekali i z przykładu świątobliwego życia Jego korzystali.

Stefan Krzeptowski.

Zakopane, ul. Kościeliska 67.

Jako zredukowana nauczycielka z powodu choroby, pozostając w beznadziejnym położeniu, nie mogłam mimo usilnych starań uzyskać emerytury wskutek przerwy w służbie. Udałam się o pomoc do Najświętszej Panny Marji za wstawiennictwem Świątobliwego Brata Alberta — w sposób cudowny otrzymałam wkrótce emeryturę za co składam „Serdeczne dzięki".

Również poleciłam opiece Świątobl. Brata Alberta sierotę po zmarłej siostrze, bez środków do życia, która nie mogła znaleźć miejsca bezpłatnego w żadnym zakładzie i za Jego Świątobliwej Osoby przyczyną została umieszczona w jednym z Zakładów w Krakowie.

Zgłaszam oba wypadki jako cuda sprawione za przyczyną Świątobl. Brata Alberta.

Jadwiga Bochniżanka
Kraków XXII, Lwowska 38.

Dnia 26 kwietnia 1934 r.

W roku 1928 zabolało mię bardzo oko i obok niego uformował się wrzód bardzo bolący. Wtem wzywałam pomocy Brata Alberta wołając jak dziecię do Ojca „Tatusiu patrz jak cierpię, uzdrów mię". Oko przestało mię boleć i do 3-ch dni ani śladu nie było gdzie był wrzód.

S. Izabella Albertynka.

W roku 1928 bolał mię bardzo palec i ropiał. Chodziłam dłuższy czas do szpitala OO. Bonifratrów na opatrunki, ale nic nie było lepiej. Pewnego razu poszłam na grób Brata Alberta, pomodliłam się, narwałam listków z barwinku, obłożyłam niemi palec i do trzech dni palec zupełnie był zagojony, mogąc już tą ręką pracować.

S. Bogusława Albertynka.

Będąc w zmartwieniu osobistem z powodu oszczerstwa zwróciłam się o pomoc do Brata Alberta co też wkrótce odczułam gdyż przykre nieporozumienie zostało wyjaśnione.

Również pewna młoda kobieta będąc przy nadziei zachorowała ciężko na grypę z komplikacjami zagrażającemi matki i dziecięcia życiu. Dzięki jednak modlitwie i pomocy Brata Alberta do którego zwrócono się gorąco, choroba minęła i dziecię choć wątłe przyszło na świat chowa się i zdrowo rośnie.

Od siebie dodaję, że miałam szczęście zetknąć się w życiu ze Sługą Bożym w roku 1907 kiedy to prosiłam o przyjęcie do Zgromadzenia.

Cieszę się bardzo, że Drogi Nasz Ojciec i Założyciel osiągnie chwałę Ołtarzy.

Anna Kurdziel.

Oleszyce Stare, p. Oleszyce, powiat Lubaczów.

„Żywot Brata Alberta w obrazach"

Nakładem Braci Albertynów wyszło w tych dniach dziełko p. t. „życie Brata Alberta w obrazach", opracowane przez Ks. prof. dr. Kazimierza **Prażmowskiego** i artystę - malarza prof- Zygmunta Wierciaka.

Wydawnictwo to — jako pierwsze tego rodzaju w Polsce, składa się z 112 stron w tem z 52 jednokolorowych rycin przedstawiających ważniejsze chwile z życia Brata Alberta od urodzenia aż do Jego chwalebnej śmierci, nadto jednostronicowych artykułów wyjaśniających znaczenie każdego poszczególnego obrazka.

Zgromadzenie Braci Albertynów pragnąc zadość uczynić prośbom Czcicieli DZIEŁA Brata Alberta oraz zaznajomić bliżej liczne warstwy katolickiego społeczeństwa polskiego z tak wybitną a dziś znaną powszechnie na ziemiach polskich charytatywną działalnością swego Czcig. Założyciela, mimo gorącej chęci, nie mogło długo — spowodu braku funduszów na całkowite pokrycie dość wysokich kosztów — zdobyć się na wydanie tego dziełka.

Dzięki jednak Opatrzności Bożej oraz moralnej i materjalnej pomocy zacnych i życzliwych Osób, a przedewszystkiem Przew. Ks. Prof. **Stefana Króla** Postulatora sprawy beatyfikacji Brata Alberta, który raczył udzielić swej moralnej pomocy, WPana Marjana **Dąbrowskiego,** Naczelnego Redaktora I. K. C., który z całą życzliwością pośpieszył z bezinteresowną pomocą przez łaskawe wykonanie w swym Zakładzie 32 klisz własnym kosztem, oraz niestrudzonych Autorów Przew. prof. dr. K. Prażmowskiego i WPana Zygmunta **Wierciaka** i wielu, wielu innych, dzięki których wydawnictwo to mogło ukazać się na półkach księgarskich.

Spełniwszy z radością ciążący obowiązek Zgromadzenie Braci Albertynów składa tym wszystkim Czcig. Dobrodziejom — Czcicielom DZIEŁA Brata Alberta i wszystkim tym, którzy czemkolwiek przyczynili się do wydania tej pożytecznej broszurki z głębi serca stokrotne „Bóg zapłać".

Brat Wincenty,
Starszy Zgromadzenia Braci Albertynów.

BRATNI ZNAK

Pismo dla młodzieży zakładów wychowawczych Braci Albertynów

Bezpłatny dodatek do Nr.4 „Nasza Myśl" WrzesieńiPaździernik 1936 r.

MŁODZIEŻ.

Między nami a przyszłością jest most złoty
Montowany z serc młodości —
Nad Ojczyzny wolnością i chwałą
Rozpina przęsła jak cięciwy łuku,
Jak stal hartowny w ogniu pierwszej próby
Jak szczere złoto w słońcu lśniący
I jak tęcza w niebiosach
Podobłoczny, być musi!
Bo przyszłość, to serca żywych dziś, żyjących ludzi!
I co w tych sercach pali się ogniskiem
Charakter pracy, skrzętność i uczciwa praca —
Wszystko, co przez duszę ludzką jasnym przejdzie błyskiem,
To co ją boli i to, co ją rozzłaca
Wiara, która w dani ofiarnej niesie swemu Stwórcy
Nadzieja, która jest nicią srebrną plącze sny przyszłości
I miłość, która w dniach młodości zbudzić chce zaklęciem!
Wszystko, to co pieśń ludzka w swoim wnętrzu chowa
Zapał, zachwyty, porywy i wzloty —
Wiedza, nauka, czy też z młotem ręka
Z kilofem pięść kująca rudę, nieugięta,
Czy w tkalni za warsztatem, kark schylony,
Wszędzie człowiek niosący, trud swej pracy czysty —
Sam jest przyszłością i Ojczyzny budowniczym!
Między nami a przyszłością jest most złoty
Montowany z serc młodości —
Przyszłość, to są dusze dzieci,
Z których ma wyróść nowy zastęp współobywateli
By trwały był fundament dla rozwoju państwa
Dusze, które ochraniać trzeba przed zepsuciem świata
I przed próżnością, która prawdę mroczy,
Przyszłość, to jest wiara w ideały szczytne
Przy których twardo trzeba stać na straży —
Szanując prawd Bożych i ludzkich ustawy —
Honor, który nie w pustych słowach ani pięknym geście
Lecz w czynach świadczy o godności własnej.

Przyszłość — to jest ręka poczciwie podana
Tym, co nie znając drogi, błądzą wśród ciemności
Iskra, tchem swojej pieśni chętnie rozniecona
W poczuciu bliźnich Miłości —
Przyszłość — to te zabiegi troski pełne
O plon myśli ziarna
To czoła poradlone, które męski szron okoli
I ta w znoju truda, ducha dań ofiarna
Dla szczęścia drugich
Na ogólnej roli —
Którą by się rzucić chciało w skiby rozorane
By rozwielmożnić jej twórczość dokoła wszechwładną
By żniwa w stutysięcznych kłosach zostały zebrane!
Między nami, a przyszłością jest most złoty
Zmontowany z serc młodości.
Jak dąb młody na wichrze, chłostany nawalni
Skrzywi się i nie wyrośnie już strzelisto w górę
Jak bez ogrodnika ręki nie zakwitnie kwiat szlachetny
A biada temu, co hoduje tylko głogi
I z dziczków zakłada sad owocowy —
Jak brylant siedmią barw mieniący
Pod szlif kunsztowny poddawać się musi
Jak ziemia przeorana, oczyszczona z chwastu
Plon bogaty rodzi
Tak i człowiek —
Jak rola czeka na siew ducha
I albo pszennem ziarnem, powszedniego chleba
Obrodzi —
Lub kąkolem, trucizną dla całego łanu —
Dusza młodości, to jest gąbka z morza chciwa —
Co nasiąka tem tylko, co jej życie poda —
A jeśli zaczerpnie miast ożywczej wody
Zatrutej żywota krynicy
To zwiędnąć musi szczep młodości
Most podobłoczny przęsła swe ugina
I gaśnie pochodnia prowadząca
W przyszłość —
Lecz to nie jest wina — tych co nie znając szlaku błądząc
Lecz tych wina, co się pierwszymi przed narodem sądzą
A choć mają możność uchylać poznanie
Nie prowadzą za sobą w prawdy wrota
I nie wiedzą, że największa cnota —
To jest otwierać na światło oczy niewidzących —
A Ojczyznę, to nie jest dosyć samą kochać —
Lecz trzeba dać żywym w niej żyjącym ludziom
Całe serce! . . . .
. . . .
. . . .

Byśmy serca, skłonne mieć chcieli do litości
I nie byli dla niedoli twardzi, jako głowy granitowe
Święty Młodzieniaszku polski!
Stanisławie Kostko!
Uproś nam u Boga miłość dla ludzkości!

M. Janoszanka.

KRONIKA ZAKŁADU ZWIERZYNIECKIEGO.

Gość z Afryki

W przeddzień wyjazdu chłopców na tatrzańskie wakacje odprawił Mszę św. w kaplicy zakładowej kapłan ze Zgromadzenia Ojców Misyj Afrykańskich — popularnie zwanych Ojcami Białymi.

Dziwne wrażenie sprawiał swym białym nieprzepasanym arabskiego kroju habitem i wiszącym na szyi różańcem z biało - czarnych paciorków. Był to jednak strój nezupełny, gdyż w Afryce OO. Biali wkładają na habit biały burnus arabski, na głowę zaś czerwoną fezkę.

Czcigodny gość przybył do Polski po 7-mio letniej nieobecności, (2 lata spędził we Francji, 5 lat w Afryce) aby odwiedzić rodzinę, odprawić prymicję oraz zebrać nieco grosza na Misję afrykańskie OO. Białych, wspaniale się rozwijające, gdyż całe plemiona murzyńskie przyjmują chzest św.

Nowy Przyjaciel

W dwa dni później złożył nam wizytę dr. M. Mór Karpathy-Kravjánszky z Zakonu OO. Norbertanów (byli w Polsce dawniej), przybyły z Gödöllő koło Budapesztu z ramienia rządu węgierskiego w celu badania archiwów i bibljotek Krakowa i Warszawy.

O. Karpathy - Kravjánszky jest wybitnym węgierskim historykiem, zajmującym się głównie dziejami Europy centralnej w w. 16 i 17. Na pracach naukowych spędził 2 lata w archiwum watykańskiem, 8 lat w weneckiem.

Prace swe wydawał w językach: węgierskim, włoskim i niemieckim. W Krakowie dowiedział się o Bracie Albercie i o Węgrach - Albertynach, wówczas postanowił złożyć wizytę.

W rozmowie z jednym z Braci zapytywał, czy Węgrzy - Albertyni zamierzają przenieść się na Węgry. Na twierdzącą odpowiedź z zapałem wyraził gotowość zaznajamiania swych ziomków po powrocie do ojczyzny za pomocą prasy z postacią Brata Alberta i Jego „praktycznem" (jak się wyraził) Zgromadzeniem.



J. E. Najprzewielebniejszy Książe — Metropolita krakowski Ks. Dr. Adam Stefan Sapiecha

Zapowiedziana wizytacja kanoniczna parafji Najśw. Salwatora na Zwierzyńcu, do której należy nasz Zakład wywołała zrozumiałą radość, że będziemy mieli zaszczyt gościć w naszych murach Najdostojniejszego Księcia - Metropolitę krakowskiego Adama Stefana SAPIEHĘ.

W oznaczonym dniu t. j. 29 czerwca br. przybył J. E. Książę-Metropolita by dokonać wspomnianej wizytacji. Powitany u progu świątyni przez proboszcza parafji Najśw. Salwatora Przew. Ks. Prałata Stanisława Pilchowskiego i wprowadzony do wnętrza kościoła po wstępnych modlitwach przed Przenajśw. Sakramentem odprawił Ks. Arcybiskup Mszę św., w czasie której udzielił Komunji św. wszystkim przystępującym między którymi byli Bracia ze Zwierzynieckiego Zakładu ze swym Bratem Starszym Wincentym na czele. Po Mszy św. odbywała się dalsza część wizytacji parafji. W czasie Sumy odbywającej się przy prowizorycznie ustawionym ołtarzu na podwórzu klasztornem orkiestra wychowanków naszego Zakładu, odegrała kilka utworów religijnych.

Po nieszporach zebrały się wszystkie organizacje katolickie w domu

parafjalnym przy ul. Kościuszki, by tu, przed swym Dostojnym Wizytatorem złożyć hołd i sprawozdanie ze swej działalności.

Około godziny 6-ej wieczorem przed nasz Zakład zajechał samochód wiozący wyczekiwanego z niecierpliwością Najdostojniejszego Arcypasterza. Po powitaniu przez wszystkich domowników oraz orkiestrę zakładową hymnem powitalnym J. E. Książę - Metropolita udał się do miejscowej kaplicy gdzie w krótkiej modlitwie oddał pokłon Jezusowi utajonemu w Najśw. Sekramencie... Następnie w towarzystwie przybyłych gości a to, Przew. Ks. Prałata Kuliga, Przew. Ks. Prałata St. Pilchowskiego udał się Książę - Metropolita do celi Brata Starszego Wincentego, gdzie wysłuchał krótkiego sprawozdania o życiu i działalności Zakładu. W pięknie przybranej sali zakładowej odbyła się dalsza uroczystość wizytacyjna. Tu po przywitaniu przez orkiestrę hymnem powitalnym jeden z wychowanków Józef Maniecki w pięknych i rzewnych słowach złożył HOŁD Najprzewielebniejszemu Księciu - Metropolicie jako najlepszemu Opiekunowi nędznych i opuszczonych. Książę - Metropolita w krótkich słowach podziękował za przyjęcie a następnie w pełnej ojcowskiej miłości łaskawej rozmowie z wychowankami spędził kilka chwil, które na długo pozostaną w sercu młodzieży albertyńskiej. Nie dziw też, że odjeżdżającemu Najprzewielebniejszemu Arcypasterzowi towarzyszyły gromkie okrzyki „Niech żyje!".

Praca na chleb a wszakże nie dla chciwości i chleba, umartwienie zmysłów i ducha, które w pełnieniu cnót zakonnych się zawiera — Te są żywioły Franciszkańskiego życia.

Słowa Brata Alberta

(Przewodnik do Reguły III-go Zakonu św. Franciszka Serafickiego).



Wychowankowie Zakładu Zwierzynieckiego i ich Opiekunowie z Przew. Bratem Starszym na czele przed budynkiem Żupy solnej w Wieliczce

Wycieczka do Wieliczki

Doceniając rozwój umysłowy młodzieży sobie powierzonej Zakład dba również i o to, by wychowankowie nie tylko teoretycznie zapoznawali się z kulturą rodzinnego kraju i pięknem tegoż, ale w miarę możności i funduszów urządza się wycieczki krajoznawcze. Do tegorocznej wycieczki do Wieliczki, która odbyła się dnia 4 lipca b. r. przyczyniła się Dyrekcja Polskiego Monopolu Solnego udzielając łaskawie swego zezwolenia na wolne od opłaty wstępu zwiedzenie Salin wielickich. Ile wdzięczności przez to pozostało w sercach wychowanków, którzy mieli możność obejrzeć tych cudów piękna Kraju naszego jakiemi są żupy solne. Do naszej gromadki przyłączyły się również Wielebne Siostry Serafitki z sąsiedniej Ochronki dla dzieci, które wraz z swemi wychowankami w liczbie 20 osób, brały udział w wycieczce.

Ogromne wrażenie na młodych wycieczkowiczach zrobił zjazd do kopalni soli, gdzie czarowne jak z bajki sale czy też kaplice zachwycały oczy, pieśń zagrana przez wychowanków w kaplicy św. Barbary, a marsze w komorach i salach balowych mile bawiły licznych gości przybyłych w tym czasie do Salin.

Na tym miejscu Zakład wyraża serdeczne „Bóg zapłać“ tak Dyrekcji P. M. S. jak też i Zarządowi Salin w Wieliczce za bezinteresowne przyczynienie się do tej wycieczki, a Przew. Bratu Starszemu Wincentemu za udział i pozwolenie na tę wycieczkę.

„NASZA MYŚL" DWUMIESIĘCZNIK ALBERTYŃSKI
wychodzi w Krakowie, ul. Tadeusza Kościuszki l. 86

WYKAZ ZŁOŻONYCH SKŁADEK

Na fundusz beatyfikacji Brata Alberta złożyli:

JWPan Roiński Albert, emer. Komandor marynarki woj. — Lwów — 10 złotych. JWP. Franciszek Zajączkowski, emer. kapitan W. P. — Kobierzyn ad Kraków — 5 zł.

Na fundusz prasowy „Naszej Myśli" złożyli:

WPan Jamrozik Wojciech — Młoszowa, p. Trzebinia — 40 gr. Przew. Brat Karol przeł. Zakładu Braci Albertynów — Lwów — zebrane — 10 zł.

Redakcja składa serdeczne „Bóg zapłać".

Odpowiedzi Redakcji:

WPan Wojciech Jamrozik — Młoszowa. Za nadesłaną kwotę 3 zł., którą według życzenia WP. przeznaczyliśmy 1.60 zł. na prenumeratę, 1 zł. na kalendarz oraz 40 gr. na fundusz beatyfikacji Brata Alberta, serdecznie dziękujemy i pozdrawiamy.

Redakcja.

Od Redakcji

Przypomina się Szanownym Autorom, że artykuły mające być umieszczone w „Naszej Myśli" czy też wiadomości w Kronice prosimy o przysyłanie do druku conajmniej na miesiąc wcześniej.

OŚWIADCZENIE!

Stosując się do dekretów Papieża Urbana VIII, oświadczamy że opisując zdarzenia i łaski nadzwyczajne nie chcemy uprzedzać wyroków Stolicy św. której we wszystkiem najzupełniej się poddajemy.

REDAKCJA

Za pozwoleniem władzy Duchownej

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Adres zwrotny: „Nasza Myśl" Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.